

Darowane życie

Półki jesteśmy młodzi i zdrowi, sądzimy, że życie to prezent, który otrzymaliśmy na wieczność i nie szanujemy się go. Potem się go nie docenia. Ileż razy mamy czasami wszystkich dość, do tego stopnia, że przychodzą myśli, by je odrzucić. Dopiero gdy stajemy na granicy śmierci, rozumiemy, że to nie nie żądna kara, nie przekleństwo, a wyjątkowy dar, którego nie doceniliśmy, narzekając na podatki, na ciężki los, na niesprawiedliwość. Dopiero wtedy uświadomiamy sobie, że jeszcze tak wiele chcielibyśmy przeżyć, doznać, doświadczyć, poznać wreszcie. Wtedy też szukamy ratunku dla siebie, aby przeżyć życie i doświadczyć starości, by odejść dopiero, gdy będziemy na to gotowi.

Czasami jednak na leczenie jest za późno albo pozostaje jedynie operacja, a i tak nie mamy pewności, że na niej skończy się nasza walka o życie. Choć współczesny świat oferuje całą gamę możliwości związanych z leczeniem, to jednak wciąż medycyna nie jest zdolna pomóc wszystkim chorym. Wciąż bardzo dużo osób umiera w cierpieniu i samotności. Samotność bowiem zawsze towarzyszy w trudnych chwilach, nikt nie jest w stanie, choćby bardzo chciał, uczestniczyć w naszym cierpieniu. Bezradność medycyny w odniesieniu do niektórych chorób sprawia, że ludzie poszukują pomocy w alternatywnych sposobach leczenia.

Do redakcji przysłała mieszkanka Łobza. Na jej prośbę nie podamy jej prawdziwego imienia. Nie wstydzisz swoich doświadczeń. O jej chorobie nie wiedziałajęj najbliższa osoba i nie chce, aby dowiedziała się o tym gazeta. Chciała jedynie podzielić się z mieszkańcami swoim doświadczeniem. Na potrzeby tej publikacji nazwiemy ją Alina.

Fotografia nie kłamie

Pani Alina przyniosła do redakcji zdjęcia USG, na których widoczne i opisane były dwa guzy o wielkości pięści – 4,6 i 4,9 cm i dwa mięśniaki. Oprócz tego w jamie brzusznej, jak powiedziała, pojawił się płyn.

- Najmniejszy problem to były mięśniaki - relacjonuje pani Alina. - Gdy zobaczyłam mnie lekarza, wiedziałam, że jest już poważnie. To był lekarz, u którego leczę się od lat. Nie straszyl mnie, bo to nie jego rola. Powiedział, że należy je usunąć operacyjnie. Miałam być znieczulona częściowo i dopiero po otwarciu jamy brzusznej lekarz miał konsultować ze mną co usunąć, bo wtedy tak naprawdę widać co się dzieje. To pacjentka decyduje. Dzieci już nie będą rodzić, więc można usunąć wię-

cej. Guzy z pewnością były do usunięcia, ale dopiero na stole operacyjnym miała zapadć decyzja - co jeszcze. A czy są to guzy złośliwe, czy nie, to dopiero byłoby wiadomo po badaniach histopatologicznych. Terminy operacji miałam ustalone kilkakrotnie. Najpierw były robione badania, mamnografia, czy wszystko jest w porządku. Okazało się, że tak. Nic się nie działo, nie było żadnych przerzutów. W końcu termin został ustalony na 19 stycznia. Do tego czasu aż pięć razy miałam wykonane USG, zawsze na tym samym sprzęcie. Na zdjęciach były widoczne guzy, nie widziałam jedynie przedostatniego zdjęcia, bo bardzo się spieszyłam. Lekarz jednak stwierdził, że już jest lepiej, a dodam, że nie otrzymałam żadnych danych. Powiedział, że jeszcze przed samą operacją zrobili USG. Gdy je dzidał do niego, mówiłam mu, że poje się tej operacji. Wcześniej miałam cesarskie cięcie, ale wtedy towarzyszyła mi radość, bo na świat przychodziło ukochane i oczekiwane dziecko. Tutaj był tylko strach. Strach, który mnie dławil. Inaczej jest, gdy na operację idzie się nie nagle, a inaczej, gdy czeka się na nią kilka miesięcy; to wszystko trwało od połowy października do połowy stycznia. Trudno opisać ten stan, to jakby życie w innym świecie, ciągle towarzyszyli mi stres, choćbym nie wiadomo jak bardzo chciała się wyłączyć i nie myśleć. Nie mogłam jeść ani spać. Nie dostawałam żadnych leków. Lekarz powiedział, że przed operacją może uszczec mnie tylko cud.

Nie miałam żadnych bóli, żadnego dyskomfortu, nic. O guzach dowiedziałam się, bo chciałam zrobić sobie badanie kontrolne.

Miałam już skierowanie na operację. Do szpitala szpitala, jeżdżałam z walizkami. Już podczas przedostatniej wizyty lekarz dał mi nikłą nadzieję, że może jednak operacja nie będzie. Po przyjęciu do szpitala zadzwoniłam do swojego lekarza z informacją, że już jestem. Zobać czytam go, jak siedzi korytarzem, był uśmiechnięty i spokojny. Po zrobieniu USG powiedział: „Mówiłam pani, że nie będzie operacji. Nic niema. Ani guzów, ani mięśniaków. Jedzie pani do domu”. W pierwszym momencie nie mogłam uwierzyć. Przy mnie zadzwoniła oddział powiedział: „pacjentka spada z listy i jedzie do domu”. W tym momencie trzy popłynęły mi z oczu. Ubrałam się i wyszłam na korytarz, do męża. Lekarz po chwili podszedł do nas i powiedział, że należy się cieszyć, a nie płakać, a miły płynęły ze szczęścia. On chyba już wiedział przy przedostatniej wizycie, a to ostatnie badanie było tylko dla potwierdzenia.

Oczywiście dopuszczam opcję, że lekarz mógł się pomylić, ale jeśli cały czas robi zdjęcia na tym samym sprzęcie USG, to nie można. Sama widziałam guzy, było - irracjonalnie nie ma. Po guzach zostały tylko puste kieszonki.

To nie żadne czary-mary

Od początku jednak, jak się tylko dowiedziałam o guzach, chodziłam do pana Ryszarda Żurowskiego. Znałam pana Ryszarda, bo nie byłam u niego pierwszy raz. Właściwie chodźmy do niego rodzinie, zarówno córka, jak i mama, i zawsze jakimś pozytywnym skutkiem.

Po wizytach u pana Ryszarda Żurowskiego człowiek jest zmęczony, senny, ale lekki jednocześnie.

Wycieczka do kina Helios

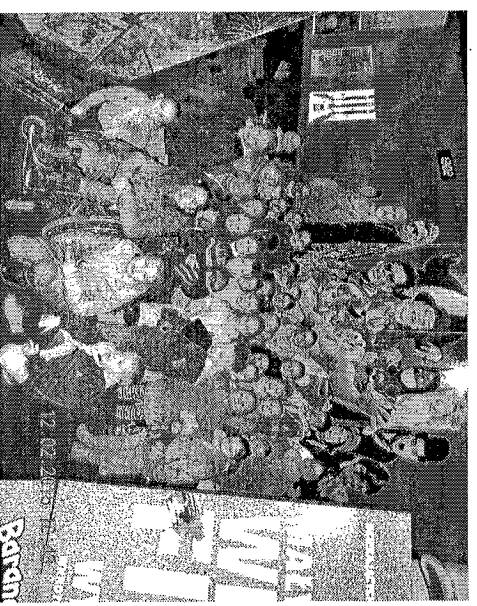
Uczniowie Szkoły Podstawowej w Runowie Pomorskim z klas 0, 1, 2, 3 i 5 uczestniczyli 12 lutego w wycieczce do Szczecina, na film „Pingwiny z Madagaskaru” w 3D.

„Pingwiny z Madagaskaru” to najnowszy film tworców „Madagaskaru”. To wielka przygoda Pingwinów, które odwiedzają Antarktykę, Wenecję, pustynie, Szanghaj, Nowy Jork i Kentucky. Podczas tajnej misji stawiają czoło złemu naukowcowi i robią to, czego nie zrobiły żadne inne pingwiny. Uczniowie poznali historię najwspanialszych ptasich śpiewaków wszechczasów: Skippera, Kowalskiego, Rico i Szeregowego. W filmie, ci elitarni tajni agenci łączą siły z tajną organizacją Północny Wiatr, która dowodzi Agent Ułajno-

Czasami pojawia się dyskomfort, ale chodzą się z chęcią. Z jednej strony jest to rozmowa, z drugiej podbudowuje się psychicznie, spotyka się ludzi, którzy opowiadają swoje historie albo swoich bliskich. Każdy, kto tam przychodzi, ma swoją historię. Ludzie wychodzą z ciężkich nowotworowych przypadków, bardzo poważnych. To daje nadzieję i siłę.

Zawsze, gdy coś nam dolegało w rodzinie, chodziliśmy do pana Ryszarda i poprawiało się nam zdrowie. Uleczym naszego psa, wręcz na naszych oczach zniknął guz. Dlatego wierzyłam, że mi pomoże. Miałam nadzieję, że poprawi się mój stan, ale nie wierzyłam, że aż w takim stopniu. Nie wierzyłam, że ominię mnie operacja. Lekarz wiedział, że chodziłam do bioenergoterapeuty, nie miał przeciwwskazań, nie jest to przecież żadna inwazyjna metoda, ani też żadna magia czy czary-mary.

Pan Ryszard Żurowski robił mi sesje nawet telefonicznie – wieczór przed dniem wyznaczonym na przyjazd do szpitala. Zna mnie, potrafił sobie wyobrazić moją twarz. Wiem, że to dzięki niemu uniknęłam operacji, że to dzięki jego umiejętnościom oraz energii, którą leczy. Nie wiem skąd ją ma, ale musi być bardzo duża, skoro pomógł i wciąż pomaga tak wielu ludziom. Z pewnością nadal będziemy z całą rodziną korzystać z jego pomocy w trudnych chwilach. Niesamowite jest to, że pan Ryszard Żurowski jest tu, na miejscu, w Łobzie. Niektórzy ludzie przyjeżdżają do niego z całej Polski, niektórzy piszą z zagranicy, przesyłają zdjęcia i proszą o pomoc. Ja dostałam nową szansę i cieszę się, że jestem zdrowa i mogę cieszyć się życiem. To największy dar. MM



ny. Razem stawiają czoło doktorowi Oktawiuszowi Mackiewiczowi, który chce zniszczyć świat. Każdy z Pingwinów jest wyjątkowy - razem stanowią ekipę nie do pobicia.

Wszyscy bawili się wyśmienicie, o czym świadczyły coraz rozlegające się w sali wybuchy śmiechu. Niewiele było takich momentów, w których panowała cisza. Wycieczka była bardzo udana,

uczniowie wrócili do szkoły pełni wrażeń.

Organizator: Elżbieta Bobryk.